

Od redaktora

Kolejny numer *Zeszytów Prasoznawczych* zawiera jedenaście medioznawczych artykułów o różnorodnych treściach.

Grzegorz Bajorek bada stan prawny i praktykę orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, które wskazują, że współczesny dziennikarz, choć oficjalnie cieszący się wolnością słowa, powinien się dobrze zastanowić, zanim napisze coś lub podejmie działania nie po myśli swojego pracodawcy. Edyta Żyrek za pomocą literaturoznawczych narzędzi bada sposoby wartościowania afrykańskiej rzeczywistości obecne w twórczości dwóch wielkich reportażyistów: Jeana Hatzfelda oraz Ryszarda Kapuścińskiego.

Nie zawiodą się również zainteresowani historią prasy. Dwa teksty: Kamili Kamińskiej i Anety Stawiszyńskiej, omawiają różne aspekty życia i twórczości dziennikarzy – dziś pamiętanych (Stefana Kisielewskiego) lub zapomnianych (Bolesława Busiakiewicza). Anita Magowska natomiast wydobywa z otchłani ostatnich stu trzydziestu lat prasowe świadectwa początków polsko-litewskich narodowych sporów, które do dziś mają się dobrze i nie tracą zaciętości.

Jak w licznych poprzednich numerach *Zeszytów...*, dominujący jednak okazuje się wątek medialnych manipulacji. Artur Lipiński wskazuje, że różniące się ideologicznie tytuły prasowe mogą kreować przeciwstawne obrazy wydarzeń na tyle ważnych, iż Polacy powinni mieć w miarę obiektywną o nich wiedzę i – co za tym idzie – dysponować możliwością wyważonej oceny. Niestety obiektywnej informacji nie otrzymujemy. Że zaś wiemy o Polsce i świecie niewiele więcej, niż mówią o nich media, realizuje się naprawdę czarny scenariusz: dwaj Polacy obiektywnie żyjący w tych samych czasach i w jednym kraju, Polsce, mogą – jeśli czytają i oglądają różniące się ideologicznie media – subiektywnie czuć się tak, jakby mieszkali w dwóch państwach. Co więcej – demokratyczne (lub niby-demokratyczne) media mogą się stać bezpośrednimi narzędziami walki, co prowadzi zdaniem trójki warszawskich badaczy – Karoliny Brylskiej, Tomasza Gackowskiego, Jacka Wasilewskiego – do powstania zjawiska „piramidy wykluczenia”, będącej „kluczowym faktorem odpowiadającym za pęknięcie polskiej wspólnoty narodowej”.

Magdalena Hodalska przenosi z kolei dyskusję o wynaturzeniach medialnego obrazu świata na poziom bardziej ogólny, emocjonalny. Media straszą nas coraz skuteczniej i zupełnie bez względu na to, czy nasz świat jest akurat mniej, czy bardziej bezpieczny. Czymże innym jest bowiem zastępowanie gatunku „wy-

darzeń medialnych” przez tak zwane maratony katastrof, niż budowaniem wizji takiej rzeczywistości, gdzie jest coraz mniej okazji do wspólnego świętowania, a coraz więcej przerażających nieszczęść. Bo to przecież programy telewizyjne się zmieniają, a nie natura świata.

Cóż, nie chciałbym wpadać w zbytnio medialne tony, ale ciekaw jestem, czy życie w takiej schizofrenicznej mediasferze nie zaszkodzi kiedyś nam i naszym narodowym interesom... Trudno wyrokować, bo i jedynomyślność się nie sprawdziła. Najpewniej jednak gdzieś między tym skrajnymi możliwościami wyznaczona jest granica bezpieczeństwa, której w politycznych sporach nie należy przekraczać.

Pozostałe trzy teksty można rozważać tak, aby zaczęły się składać na ilustrację pewnego, zarówno medioznawczego, jak i socjologicznego czy kulturoznawczego problemu.

Otóż Magdalena Szpunar w artykule „Od pierwotnej oralności do wtórnej piśmienności w epoce dominacji internetowego *biasu*” między innymi relacjonuje (w zasadzie dziś w Polsce obowiązujące) poglądy na temat skutków rozpowszechnienia się internetu dla obecnego sposobu zdobywania wiedzy, czyli – w największym skrócie – zdezaktualizowania się pisma jako jej nośnika, które zaowocowało tym, że ludzkość przestaje czytać teksty, odwraca się od tradycyjnego wykształcenia, neguje wartość erudycji i zaczyna tym samym wracać (oczywiście na nowym poziomie) do obyczajów epoki przedpiśmiennej: opiera się na wiedzy zasłyszanej, praktycznej, czerpie nie z tekstów, lecz z obrazów itd.

Niektóre znane mi fakty potwierdzają te teorie – na przykład studenci czwartego roku poproszeni o przeczytanie akapitu niezbyt skomplikowanego tekstu naukowego nie potrafili potem powtórzyć jego treści „własnymi słowami”, nie umieją zdefiniować pojęć ‘procent’ czy ‘proporcja’ itd. A na dodatek protestują, że przecież jest Wikipedia i po co im to wiedzieć. Czyli mniej więcej jest tak, jak to przewidywał W.J. Ong w dziele „Oralność i piśmienność. Słowo poddane technologii”, wydanym w Polsce w 1992 roku (choć zamiast o „oralności” wolałbym mówić o „wtórnym analfabetyzmie”), i jak to opisuje Szpunar. Czy jednak nie mamy do czynienia z potwierdzeniem pozornym? Przypomina mi się bowiem pewna historia...

W 1992 roku uczyłem w liceum języka polskiego i ucieszyłem się bardzo, gdy zakupiłem podręcznik do czwartej klasy – pióra Ignacego Matuszewskiego: „Literatura polska 1939–1991”, wydany przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne. Był pozbawiony cenzuralnych ograniczeń i białych plam, jego narracja prezentowała historię polskiej literatury najnowszej w sposób zbliżony do rzeczywistości, jaką znałem, który pasował do ambitnego programu ówczesnego liceum. Kiedy jednak w roku następnym kazałem kupić go uczniom, okazało się, że jest niedostępny (kolejne wydania były dopiero w 1995 i 1999 roku, a książki dla szkół powinno się wznawiać co roku). Miałem za to do dyspozycji kolejne, nowe podręczniki: jednolitą narrację zastąpiono w nich mozaiką krótkich notek

i doprawdy rekordową liczbą obrazków. Rzeczywiście dzisiejszemu czytelnikowi przypominałyby szereg stron internetowych spojonych hipertekstem.

Ponieważ wtedy polski internet ledwo raczkował i niczyjej umysłowości jeszcze nie zdołał przemienić, trudno mówić o dostosowaniu podręczników do mentalnych możliwości ucznia, wówczas (jak sądzę) jeszcze o wiele większych niż dzisiejsze. Być może natomiast ktoś w ministerstwie edukacji nasiąkł wiarą w zbawcze możliwości umysłowego prymitywizmu, zwłaszcza że funkcjonuje ona w kulturowym dziedzictwie Europy przynajmniej od czasu Jana Jakuba Rousseau, a w drugiej połowie XX wieku rozpropagował ją powtórnie Claude Lévi-Strauss. Rychło ambitny program nauczania języka polskiego wycofano, zdecydowano o likwidacji matury z matematyki.

Sądzę więc, że medioznawca, zwłaszcza polski, obserwujący symptomy dzisiejszego umysłowego upadku, powinien się zastanowić, czy widząc to, co uważa za symptomy nowej oralności czy piśmienności, nie ulega złudzeniu, i jako jedną z hipotez dopuścić myśl, że badane zjawiska nie są narodzinami nowego *biasu*, lecz skutkami zmian w systemie oświaty, z których powodu polski uczeń przestał się uczyć na parę lat przedtem, nim uzyskał szeroki dostęp do internetu.

Pozostałe dwa artykuły tezę o powodowanych przez internet zmianach w ludzkiej percepcji bądź popierają (opisywane przez Magdalenę Przybysz-Stawską recenzyjne notki jakby naśladują recenzje sieciowe), bądź jej się sprzeciwiają. Ustalenia Sebastiana D. Kotuły wskazują, że internet wręcz wzmacnia kulturę książki.

Bo korzystanie z internetu to nie tylko powierzchowne surfowanie. To także możliwość solidnej lektury milionów obecnych tam książek i czasopism, sposobność dogłębnego skorzystania choćby z drobnej części obecnych tam miliardów gigabajtów informacji. Dlaczego zwolennicy koncepcji okołointernetowego upadku pisma uogólniają tylko praktykę surfowania, Facebooka, Twittera itd., a nie uwzględniają istnienia bibliotek cyfrowych, a do internetowych czasopism przykładają mniejszą wagę? Może rola internetu obserwowana z perspektywy udostępniania przez niego możliwości tradycyjnej lektury wydawałaby się inna? Stawiam medioznawcom to pytanie pod rozwagę...

Wojciech Kajtoch